

Łoginow Światosław

Skryba

Z „Science Fiction” nr 16 – czerwiec 2002

*„Przy starej księdze siedzi on
Uważnie się wczytując w słowa ”*
Aleksander Puszk

Intencje właściciela oberży były łatwe do odgadnięcia: jeśli naprawę przed południem rozhula się trzydniowa zamieć, to pozbycie się jedyne bogatego klienta byłoby głupotą. Nowi wędrowcy w tym czasie raczej nie przybędą, a ten, jeśli tylko zanojuje, nie będzie mógł odejść zbyt szybko. Dlatego nie żałował oberżysta kuszących słów, obiecując panu podróżnikowi prawdziwą kuchnię góralską („Dzik z grzybami, milordzie! Ostatnie w tym roku świeże grzyby i pierwszy dzik. Zaszczuty na pierwszym śniegu! Taka okazja - dziś albo nigdy!”) i wino zacne, ze zbiorów dwudziestego ósmego roku („Beczkę już wykopują!”).

Nieprawdopodobne, ale wszystko, o czym mówił gospodarz, było szczerą prawdą, może tylko beczki na razie nikt nie wykopywał, wiedząc, że jeśli zamożny pan odjedzie, nie będzie komu pić drogiego wina. Miejscowe hulaki, jasne, zbiorą się, by świętować, i grzybowego dzika pożrą, ale im wystarczy cieńszy trunek. Jeszcze dziwniejsze było to, że gospodarz wcale nie usiłował przestraszyć wędrowca plotkami o zbójcach, trudami podróży i perspektywą zamarznięcia, jeśli zamieć zastanie go w połowie drogi. Rozumiało się samo przez się, że wędrowcy zdążą przed obiadem do Bierłożek, ale tam to już na pewno ugrzęzną na dobre trzy dni.

- Lepiej zostańcie u mnie, panie! - przekonywał gościnnie oberżysta. - Co może szlachetny pan robić w Bierłożkach: ani jedzenia porządnego tam nie mają, ani obsługi. Tyle tylko pociechy, że ciepło. A do Twierdzc przed zawieją nie uda się wam, panie, dotrzeć. Tylko się milord namęczy, zamiast pokonać tę drogę w jeden dzień.

- Skąd ci przyszło do głowy - wolno zapytał Asartan - że wybieram się do Twierdzc?

- Ta droga tylko tam prowadzi! Latem, wiadomo, można przebić się przez przełęcz do Porzeczca, choć dobrzy ludzie i latem nie mają tam czego szukać. Sami przemysłowcy i inna hołota, która żeby ominąć porzeczkańskie posterunki bokiem tam lezie. Ale w zimie ta droga tylko do Twierdzc doprowadzi. Jasne, to nie moja sprawa, ja mogę nawet uwierzyć, że jasny pan do Bierłożek z wizytą się udaje, albo do Porzeczca chce dotrzeć śród zimy, ale we wsi każdy pies już wie, że podążacie do Twierdzc, do Skryby.

- Nie będę łął - przyznał Asartan. - Rzeczywiście, wędrujemy do Skryby. I mamy nadzieję dojechać tam przed twoją zachwalaną zamiecią.

Zanim Skryba zdąży zasłonić się zawieją przed intruzami, dodał w duchu.

- Nie zdążycie... - westchnął oberżysta. - W Bierłożkach ugrzęźniacie.

Jeszcze pół godziny takiej gadaniny i rzeczywiście ugrzęźniemy, pomyślał Asartan. Na szczęście drzwi otworzyły się szeroko i pojawił się w nich Kołpin.

- Konie gotowe! - oznajmił ochryłym głosem. Kołpin pełnił obowiązki strażnika i sługi jednocześnie, chociaż pysk miał zgoła bandycki. I gdyby tylko pysk! Niecały rok temu Kołpin uważany był za najniebezpieczniejszego rozbójnika w południowych hrabstwach. Ale potem na jego drodze stanął Asartan, i zbój stał się sługą. Mógł posłać go na szubienicę, ale nie lubił niszczyć ludzi, jeśli dało się z nich zrobić kogoś przydatnego. A jako sługa Kołpin wykazywał się wielką roztropnością i nie zadawał zbędnych pytań.

Asartan niedbale machnął ręką i wskoczył na siodło.

- Powodzenia, oberżysto! W drodze powrotnej niezawodnie skosztujemy twej dziczyzny z grzybami!

Oberżysta mamrotał coś, że niby dopiero wczoraj spadł śnieg, i grzyby, co się warzą w kotle, są ostatnie w tym roku, a dzik, odwrotnie - pierwszy, ale Asartan nie słuchał już jego lamentu. Wypoczęte konie łatwo wyniosły wędrowców na zaśnieżony trakt, na którym nie było jeszcze ani jednego śladu. Dobry omen, znaczy, nikt nie uprzedzi Skryby, że zbliżają się doń nieproszeni goście.

Śnieg na drodze był gruby na pół kopyta, wcale nie przeszkadzał w galopie. Kołpin nie odstawał, trzymał się za plecami i sapał z wysiłku. Wszystko układało się pomyślnie.

Pogoda zaczęła się psuć tuż przed południem. Słońce przesłoniła mgła, śnieżny puder, rodzący się w nieruchomym powietrzu, zaczynał wirować przed twarzami jeźdźców. A potem z pobliskiego górskiego grzbietu dopadł ich lodowaty podmuch.

Asartan owinął dokoła szyi wietrzny płaszcz i ponaglił wierzchowca. Kołpin też spiął konia ostrogami, omal nie wysuwając się na czoło. Sługa okutał się tylko w wołkową kurtkę, i już pierwsze zapowiedzi nadciągającej zawiei przeszły go na wylot, przypominając, że od zimna ze szczytów nawet ciepłe ubranie nie ochroni. Asartan na razie czuł się nieźle, podszyty południowym wiatrem płaszczyk odpierał atak lodowatego oddechu gór. Ale kiedy uderzy prawdziwy żywioł...

Musieli się spieszyć, więc poganiali konie, stając w strzemionach przed każdym zakrętem i wyglądając zapowiadanych Bierłożek. Zapowiedź spełniła się właściwie w ostatniej chwili. Bierłożki, jak się okazało, były małym chutorem: trzy czy cztery przysadziste chaty i może z dziesięć gospodarskich zabudowań na ustroniu. Przez wąskie na jeden bal okienka sączyło się światło - nadciągająca zamieć zagęściła w domach wczesny jak na porę dnia mrok.

Jeźdźcy zeskoczyli z siodeł. Jakby tylko czekając na tę chwilę, wiatr, dotąd ostrożnie skręcający małe śnieżne wiry wzdłuż drogi, uderzył z siłą huraganu, jednym podmuchał miażdżąc ciepłą podszewkę zaczarowanego płaszcza i na wylot przeszywając zwarte odzienie sługi. Otoczenie w mgnieniu oka zniknęło im z oczu, przesłonięte ścianą pędzącego śniegu. Huragan wzbijał w powietrze leżący na ziemi puch, zmiatał go z górskich zboczy, sypał nim z chmur, które pojawiły się nad przełęczą. Jeśli takie coś potrwa trzy dni, to Bierłożki zmuszone będą wygrzebywać się ze śniegu niczym niedźwiedź, przed czasem wyrwany ze snu przez myśliwych.

Na szczęście w ostatnich błyskach zamordowanego południa dostrzeżono z domu wędrowców. W mroku zawiei pojawił się jaśniejszy prostokąt, rozczochrana postać w kożuchu dopadła koni, chwyciła za uzdy, pociągnęła za sobą, jakby gościnnie wieśniak naprawdę zamierzał wprowadzić zziębnięte wierzchowce do własnej chaty.

Tak się też stało. Konie, a za nimi ogłuszeni zamiecią jeźdźcy, weszli do chałupy. Miejscowy naparł na szerokie drzwi. Kołpin rzucił mu się do pomocy, we dwóch udało im się zatrasnąć wierzaje, burza została na zewnątrz.

Obszerne pomieszczenie oświetlało i z lekka ogrzewało palenisko. Pod przeciwległą ścianą stały trzy krowy, miotał się po kojcu prosiak, a dobry tuzin owiec zbił się w zwarte stado. Tu też leżała para kudłatych psów. Widać było, że gospodarze zebrali pod dachem całą zwierzynę, która bez tego na pewno by poginęła w dujawicy. Konie gospodarz przywiązał bok w bok ze swoimi krowami. Dopiero potem odwrócił się do gości:

- Na czas zdążyliście. Czy was w Sieliszczach nie uprzedzili, że od południa zaczyna się trzydniowa zamieć?

- Uprzedzili - odparł niewyraźnie Asartan, rozcierając odmrożone policzki. - Ale mówili też, że do was tak czy siak dotrzemy.

- No i dotarliście - zgodził się mężczyzna. - W sam czas na obiad - dodał, wskazując głową na palenisko, gdzie, promieniując zapachem grzybów i gotowanych podrobów, bulgotał kocioł. Dwie niemłode kobiety krzątały się przy ogniu, grube kawały mięsa piekły się na kracie, tłusty dym zasnuwał powałę. Olbrzymia głowa odyńca, jeszcze nie rozebrana i niedbale opalona, wałała się nieopodal stołu, niedwuznacznie zapowiadając, czym właściwie karmieni będą goście. Skoro już los postanowił poczęstować cię dzikiem z grzybami, to chciał - nie chciał, od mięsa tak przyprawionego nie uciekniesz.

- A grzyby jakie? - zapytał Asartan. - Widzi mi się, że o tej porze to już grzybów nie ma.

- U nas... są - dziwnie dość odpowiedział wieśniak z Bierłożek. - Przechodźcie do białej izby.

W białej izbie, do której prowadziły trzy strome stopnie, było znacznie ciasniej, a barwa jej raczej czern przypominała od dymu i sadzy. Zamiast paleniska ogrzewał ją piec, a na stole trzepotał płomień grubej łożowej świecy. Przebywało tam z osiem osób. Starsi siedzieli na ławkach, a młodszy po prostu pełzali po podłodze. Na stole parowała miska wypełniona gotowanym grochem; tu, jak i we wszystkich okolicznych osadach, początek zimy świętowano ucztą, która trwać będzie, póki na dworze szaleje zawierucha. A co jeszcze można robić, gdy burza więzi w domach wieśniaków i rzemieślników, biednych i bogatych? Tylko oszacować zapasy i wsypać do kotła ostatnią kobiałkę smagniętych mrozem jesiennych opieńków. Albo, jeśli masz pewność co do terminu nadejścia pory zamieci, wykopać przewidująco drogocenną beczkę ze zbiorów dwudziestego ósmego roku.

Wina w Bierłożkach nie spożywano, ale było piwo. Olbrzymi dzban stał obok świecy, ciesząc oko przybyłych. Wspaniała czapa wolno osiadającej piany. Na znak szacunku dla gości gospodyni wyjęła gliniane miski i pękate kubki, żeby każdy mógł jeść i pić z własnego naczynia. Z czarnej izby przyniesiono kocioł i mięso na oheblowanych deseczkach. Groch został szczerze polany tłustą warzą; poświęciwszy dla gości obyczaj, rozłożono gotowe danie od razu do misek.

- Proszę do stołu - powiedział gospodarz. Asartan i Kołpin usiedli na miejscach dla gości, bliższych świecy i piwu, wyjęli noże. Obaj wiedzieli, że mięso dla siebie każdy będzie odcinał sam. Zresztą, tyczyć to tylko dorosłych mężczyzn, dzieci i kobiety dostaną resztki, a jak nic nie zostanie, to wystarczyć im musi groch z podrobami. Chociaż, sądząc z wielkości łba, leżącego obok paleniska, dziś każdy użyje tyle mięsa, ile się w bebecchu zmieści.

Chociaż goście zajęli już miejsca przy stole, to ani gospodarz, ani domownicy, ani parobcy, nie śpieszyli do siadania.

- Proszę to stołu - powtórzył gospodarz. - Knur czeka. Góra futer, zwalonych na piec, poruszyła się, pojawiła się biała rozczochrana głowa, potem z przypiecka spełził wysoki, chudy, całkowicie siwy staruch. Odziany był tylko w bieliznę, i w półmroku izby przypominał wychudzone widmo. Starzec wsunął nogi w rozdeptane walonki, szurając stopami po podłodze dotarł do stołu i usiadł obok gości. Dopiero teraz poruszyła się cała reszta, siadając według niepisanego, ale wszystkim znanego porządku.

Starzec chwycił łyżkę, a widząc, że zamiast ogólnej michy przed każdym stoi osobne naczynie, zrozumiał, że w domu są goście. Przyłożywszy dłoń do piersi, wstał z ławy, pochylił się w ukłonie.

- Do Twierdzy się wybieracie, do Skryby - ni to zapytał, ni oznajmił.

Asartan uśmiechnął się krzywo. Co można powiedzieć, skoro każdy pies w okolicy zna cel twojej podróży?

Jakiś czas jedli w milczeniu, potem, kiedy dzban został osuszony i znowu wypełniony po brzegi, powrócili do rozmowy:

- Pewnikiem Galik, sieliszczeński oberżysta, namawiał, żeby u niego pozostać. - Starzec przeniósł wyblakłe spojrzenie na Kołpina. Ten wciął mięsiwo, odcinając od szynki, ustawionej na środku stołu, jeden płat po drugim.

- Tak było - odpowiedział Asartan.

- Dobrze, żeście go nie posłuchali. - Stary otarł z cienkich wąsów piwną pianę. - Śniegi u nas są takie, rzekłbym, poważne. Trzydniowa zamieć drogę zasypie - koniom po pierś będzie. Tylko byście się namęczyli. A czekać, zanim kto inny trakt przetrze - też niewielka radość. W Sieliszczach powiadają: „Czterykroć cię trafi szlag, zanim przetrzesz w śniegu szlak” i prawda to. Co najmniej trzy dni straci się, a czasem i cały tydzień zmarnuje. A stąd, nawet bez drogi, w jeden dzień dotelepiecie się do Twierdzy.

- Duża to twierdza? - zapytał Asartan, wsłuchując się w wycie burzy za ścianami domu. Teraz, kiedy zamieć rozszalała się na dobre, można było porzucić wątpliwości: to nie kaprys pogody doprowadził do wichury nad górami. To siły magiczne spuściły z łańcucha śnieżne wiry. Ręka Skryby, bo kogóż by... Żeby tak jednym okiem zerknąć, czym się zajmuje teraz, sądząc, że jest bezpieczny, odgradzony od świata trzydniową dujawicą.

- Nie ma tam żadnej twierdzy. - odpowiedział za starca jego czarnobrody syn. - Kiedyś była, ale ją kamienna lawina zmiotła. Dwie na wpół zrujnowane wieże się ostały, ot, i Skrybie je oddali do działań magicznych. Poza tym jest tam osada, jak nasza, Maruch z rodziną tam żywie. To ją nazwano Twierdzicami... A żołnierzy tam od dawna nie ma, komu oni potrzebni, jeśli z Porzeczem wojny ze sto lat nie było.

- A skąd wiecie - ostrożnie zapytał Asartan - że zawieją potrwa dokładnie trzy dni? Może do rana ucichnie, albo, na odwrót, na tydzień się rozhula.

Gospodarz roześmiał się z politowaniem.

- Dlatego się nazywa trzydniowa, bo pojutrze na rano ucichnie. Co do minuty. Każdy to wie.

- Na równinie o czymś takim nigdy nie słyszałem - uśmiechając się, rzekł Asartan. I niedbale dodał: - Nie ma w tym jakichś czarów?

- A jakże bez czarów w takiej sprawie? - z zapałem odparł gospodarz. - Sama z siebie taka trzydniowa zamieć się nie zrodzi.

- Skryba? - odpowiedział Asartan.

- Można powiedzieć, że Skryba - pokiwał głową gospodarz. - Chociaż, po prawdzie, to nie on jeden. Wszyscy, co z wiedźmiństwem są obeznani, do tego rękę przyłożyli. Maruch pomagał i mój dziad też dwa dni pod rząd czary czynił. Widzieliście, jak się zmęczył, ledwo do stołu go dobudziliśmy.

Zmęczył... - jak echo odezwał się starzec, oblizał łyżkę i sięgnął po następną miskę kaszy. Z pieczonym mięsem dzika bezzębne dziaśła nie radziły sobie dobrze, dziad zadowalał się wątrową czy kawałkami płuc, wyławianymi z kotła.

- Po co? - szczerze zdumiony zapytał Asartan.

- A jakże inaczej? Przedtem, jak opowiadali dziadowie, jesień się zaczynała jak popadło. Albo mrozy w sierpniu po ogrodach przeszły, a to zamieć myśliwych w lesie przyłapała, albo jakieś inne nieszczęście. A dziś zamiast nieszczęść - święto. Do października - ciepła jesień, potem dzień na polowania i na koniec zamieć. Kiedy wiesz zawczasu o niepogodzie, to i zadyмка cieszy. Patrzcie, dziś pewnie w każdym domu dzika jedzą, chyba że myśliwym całkowicie nie powiodło się. Ale tu nie czarodziej jest winien, a sam myśliwy. Tak więc cała okolica Skrybie rada jest...

Wieśniak coś jeszcze mówił, ale Asartan już go nie słuchał. W milczeniu pił piwo i gorączkowo usiłował wymyślić nowy plan. Nie udało się podejść skrycie rywala, to było jasne jak słońce. Skoro słabujący na umyśle dziad jest pomocnikiem Skryby, to można przypuszczać, że sam czarodziej siedzi z nimi przy stole i słucha rozmów.. Nawet jeśli staruch jest przygłuchy, to Skryba usłyszy wszystko znakomicie. Asartan chwilami też korzystał z takich możliwości.

- Dobra, nie udało się napaść - złączą się pertraktacje.

- A jak to jest - zapytał Asartan - że Skrybą go nazywają, czy naprawdę ma Księgę?

- Ma, i to nie jedną - odpowiedział właściciel chaty.

- Zwykle księgi to i ja imam - skrzywił się Asartan, zniecierpliwiony chłopską głupotą. - Ja pytam o czarodziejską Księgę, w której sekretna magia jest zapisana. Jeśli jest prawdziwym Skrybą, to musi mieć Księgę czarodziejską.

- A ja o czym mówię! - Wieśniak pochylił się ku magowi i zaczął tłumaczyć jak małemu dziecku: - Czarodziejskie książki ma, najprawdziwsze magiczne. Sam je widziałem, tylko nie przydarzyło się czytać. Niby piśmienny jestem, naprawdę, ale Księgi otworzyć nie potrafiłem. Można, pytam, popatrzeć?, a on się śmieje: patrz sobie, patrz!.. Księgę dał mi, a ja jej otworzyć nie mogę, jakby tam stronic wcale i nigdy nie było! Taka to Księga!

Asartan pokiwiał głową, demonstrując zwątpienie. Mierziło go, że ktoś bawi się z nim w kotka i myszkę. Ochota, z jaką wieśniak przekazywał sekretne wiadomości, kazała podejrzewać, że to pułapka, wilczy dół, czyhający dokładnie na środku przyjemnie wyglądającej ścieżki. Prowokacja wyglądała na przesadnie łatwą do rozszyfrowania i Asartan uznał, że nie warto udawać, iż dał się na nią nabrać. Udawanie może tylko nieufność wzmóc.

- Sztuczki to są - mruknął nie tyle do rozmówcy, co do niewidzialnego słuchacza, kryjącego się za wyblakłym spojrzeniem starucha. - Żonglowanie. Ani jeden czarodziej, jeśli ma prawdziwą Księgę, takiego skarbu z rąk nie wypuści. To bowiem oznacza przekazanie potęgi własnej w obce ręce. Dlatego tych księzek tak mało jest na świecie. Kto czarodziejską Księgę napisze, ten dzieli się swą mocą z innymi. W przeszłości, powiadają, żyli czarodzieje, którzy napisali Księgi, ale teraz już takich nie ma. Teraz inaczej się to odbywa: zdobędzie jakiś młody czarodziej Księgę, nauczy się jej na pamięć, a potem ją niszczy, żeby nikt prócz niego starych zaklęć nie poznał. Dlatego też Ksiąg takowych nie ma już niemal na świecie. Już się pewnie domyśliłeś, że i ja jestem czarodziejem, ale powiem ci uczciwie, że ani jednej czarodziejskiej Księgi nie widziałem w swoim życiu. A ty powiadasz, że trzymałeś ją w ręku! Oszukał cię Skryba, żartów mu się zachciało i tyle.

- Może to u was na równinie tak jest - obruszył się wieśniak - a u nas Skryba żyje. On te Księgi pisze i rozdaje każdemu, kto potrafi taką Księgę otworzyć. Jedną nawet porzeczkańskiemu znachorowi podarował, chociaż niby z nimi się nie przyjaźnimy. Wojny między nami od stu lat nie było, ale przyjaźni - od tysiąca. A Skryba i dla porzeczkańskich Księgi nie pożałował. I swoim Księgi rozdaje gęsto, można powiedzieć, że każdy tu taką ma. Choćby i nasz dziadek, na przykład...

- Byś tak jęzora przygryzł... - nieoczekiwanie wyraźnie powiedział starzec, dopiero co kiwający się sennie nad kubkiem z piwem. - Wysiekę!

- A co ja takiego powiedziałem? - poderwał się gospodarz. - Też mi tajemnica! Wszyscy i tak wiedzą, że masz Księgę. I on, jeśli wykształcony jest w czarodziejstwie, też będzie miał. Skryba w tę porę akurat pracę kończy. Myślisz, że po co ci dwaj przez zamieć się tu wlekli? Skryba kończy układanie i zacznie się zastanawiać, komu by tu Księgę podarować, a ci dwaj akurat się nawiną. No to dostaną.

Starzec z niezadowoleniem poruszył bezzębnymi ustami, potem bez słowa skinął głową. Chłopczyk, siedzący na podłodze za ławkami, usłużnie poderwał się i rzucił w kierunku pieca. Po chwili wrócił stamtąd z zawiniątkiem. Gospodarz rękawem przetarł stół z rozchłapanego piwa i sosu, położył na nim zawiniątko i ostrożnie rozwinął lniane płótno.

Asartan zobaczył Księgę. Rzeczywiście - była to nowa Księga, cieleca skóra okładki wyglądała na zupełnie świeżą, a runy na grzbiecie, wykonane zwykłym atramentem, nie wypłowiły i nie zatarty się. Jedna linijka wspaniałego splotu znaków głośno: „Księga czarodzieja”.

- Ło! - z dumą rzekł gospodarz. - No, niechże spróbuje ją otworzyć...

Kołpin rzucił spojrzenie na swego pana i widząc zezwalające skinienie głowy, przysunął do siebie Księgę. Przez kilka sekund palce byłego zbój a błędziły po znakomicie wyprawionej skórze, jakby pod dłonią miał nie okładkę, a uciekającą spod palców rtęć. Twarz strażnika pozostała doskonale obojętna. Kołpin wyciągnął rękę po nóż, najwidoczniej zamierzając podważyć kłamrę stalowym ostrzem.

- Nie rób tego - rzekł Asartan spokojnie, i ręka zamarła w połowie drogi. - Mogę popatrzeć?

Och, jakim lękiem napawało go zadawanie tego niewinnego dla niewtajemniczonych pytania! Czy można popatrzeć na cudzą Księgę zakłęb? Przecież wiadomo, że nie jest to żadna Księga, ale pułapka na pazernych gości. Skromny wolumin, zapieczętowany prościutkim zakłębem, ale jak się go otworzy to... tylko mistrz, który sprokurował tę piekielną pułapkę, wie, czym ją nafaszerował...

Wieśniak rechotał z zadowoleniem, przyglądając się próbom Kołpina. Siwowłose znachor siedział na ławie wyprostowany i zazdrośnie wpatrywał się w swój skarb. Od chwili, kiedy Księga ukazała się ludzkim oczom, starzec nie wypowiedział ani słowa.

- Próbuje, jeśli potrafisz - odpowiedział za milczącego ojca gospodarz.

Przygotowany na najgorsze Asartan dotknął okładki. Księga rzeczywiście zapieczętowana była słabiutkim zakłębem. Nawet nie musiał go zdejmować, zakłęb poczuło moc w dłoniach dotykających Księgi i samo usunęło się z drogi. Na razie nie było w tym nic groźnego, zwyczajne zabezpieczenie, żeby do Księgi nie pakował nosa każdy dureń. Według opowieści, magiczna kłamra znajdowała się na każdej Księdze, zawierającej sekrety magii. Tu zapieczętowanie było prościutkie, poradziłby sobie z nim każdy, mający o czarach jako takie pojęcie. Asartan, gdyby zechciał, mógłby zapieczętować Księgę tak, że nie każdy uznany nawet mag poradziłby z nim sobie. Inna sprawa, że nie wiadomo, co kryje się pod prostą pieczęcią.

Ale smoka to tam chyba nie ma!

Asartan ostrożnie otworzył wolumin. Nic się nie wydarzyło. W każdym razie nie stało się nic, co by wystraszyło obecnych. Najdziwniejsze było to, że naprawdę miał przed sobą Księgę zakłęb! Pergaminowe stronicie były gęsto zapisane, nad każdym zakłębem widniał tytuł i obrazek, wykonany również atramentem. „Aby czerwce kapusty nie żarły”, przeczytał Asartan. „Od zimnej rosy ogórki strzec”. Magia jakaś ogrodnicza... Przewrócił kilka stronic: „Z zuchwałej głowy złość pijaną wygnać”, „Na spokój w domu z krewkim mężem”, „Na spokój w domu z suczą żoną”... No jasne, zakłębia są zebrane według zastosowania. „Od gniewu władcy”, „Aby celnik umiar znał”... Ale gdzie jest prawdziwy wysoki kunszt? Transformacja, zakłębia bojowe, wywołanie istot infernalnych? „Urok odczynić”, „Od żmii ukąszenia”... - naiwne wiejskie wiedzmienie i ani śladu tych mocy, które legendy wiążą z cudownymi Księgami. Właściwie ślad jest, ale tylko ślad. Mimo wszystko to magiczna Księga, a nie zwyczajny zbiór zakłęb. Każde słowo, każda literka wyraźnie zatwierdzona kunsztem piszącego. Jedna sprawa zamówić siano od ognia, przeczytawszy zakłęb z pamięci, inna - trzymając w ręku otwartą Księgę. W drugim przypadku zamówiony stóg nawet umyślnie nie da się podpalić. Najdroższa z możliwych rzecz dla znachora, konowała, babki-szeptuchy. Ale dla Asartana - nic ponad interesujący artefakt, osobliwość, co to interesująco by wyglądała w kolekcji innych takich okazów, ale pożytku z niej prawdziwy mag mieć nie będzie. Wspomagając się tą Księgą nie da się wywołać nawet trzydniowej zamieci. Można co najwyżej wspomagać nią prawdziwego mistrza.

„Aby w obcej wsi noclegu udzielili...” - zabawne, ten numerik nawet warto zapamiętać. Asartan jeszcze raz przeczytał naiwne zakłęb, zamknął Księgę, i zdusiwszy w zarodku okrutną chęć ukrycia jej w jukach, przesunął w stronę właściciela.

- Dobra to Księga, bardzo dobra. Nie myślałem nawet, że są takie na świecie.

Skryba napisał - powiedział staruch, zawijając wolumin z powrotem w czyste płótno.

Asartan odetchnął skrycie i z ulgą. Oto skończyła się pierwsza potyczka, ostrożny zwiad, kiedy obie strony udają, że nie zauważają przeciwnika. W każdym razie -coś niecoś o Skrybie już wiadomo. Niestety, tylko to, co sam postanowił zakomunikować. A czego Skryba zdołał dowiedzieć się o Asartanie? Najpewniej też nic istotnego. Teraz już tylko zostało siedzieć i czekać dwa dni. Raczej nie zdoła Skryba przedłużyć zamieci, osłabiłby tym samym siebie. Na razie więc będziemy wypoczywać.

- Wyśmienity dzik - powiedział Asartan, odcinając kawał boczku. - Dużo podróży, ale w innych stronach takiego nie udało mi się trafić.

- I nie mogło się udać! - z dumą zawołał wieśniak. -Przygotowanie grzybowego dzika to nasz największy sekret.

Asartan nie wytrzymał i parsknął, omal nie oblewając się piwem. Nie, to się w głowie nie mieści -Księge zaklęć, niech to nawet będzie prościutka magiczna Księga, pokaże pierwszemu lepszemu, ale sekretu pieczenia dzika nie zdradzi nawet na torturach!

- Najważniejsze żeby, póki się dzik piecze, podlewać go wywarem grzybowym. I, jasna sprawa, czosnku nie żałować. Zgadłem?

- No, tak... - zmartwił się gospodarz. - Dla was nie ma żadnej tajemnicy... Z czarami nie powojujesz...

- Żadnych czarów! - zapewnił go Asartan. - Po prostu, kiedy zajmowałeś się naszymi wierzchowcami, patrzyłem, czym gospodyni zajęta. Tak więc, przyjacielu, nalej no jeszcze piwa, bo dzban pusty.

Trzydniowa zamieć, jak było obiecano, skończyła się dnia trzeciego. Przed południem głuche wycie ustało, chociaż za oknami z miki pojaśniało niewiele.

- Zasypało śniegiem - wyjaśnił gospodarz. - Zaraz będziem odkopywać.

Drzwi czarnej izby przewidująco otwierały się do wewnątrz. Gdyby było inaczej, nawiana zaspą przywaliłaby je tak, że przyszłoby chyba przez dach wyłazić. Zresztą, wąż na strychu niedwuznacznie wskazywał, że czasem właśnie tą drogą ludzie wydostawali się z domu.

Góra puszystego, nieuleżącego śniegu, wyspała się do czarnej izby, gdy tylko robotnicy poruszyli skrzydła wrót. Za nimi trysnął oślepiający słoneczny promień i chlusnęło świeże powietrze. Zimne i niewyobrażalnie smakowite po stęchłym smrodzie chałupy. Co tu dużo mówić - trzy doby siedzieli w zakorkowanym domu, w dziesięć osób, obżartych grochem.

Chwycili za łopaty i po pół godzinie oczyścili szerokie przejście, którym można było wyprowadzić wierzchowce. Gospodarz namawiał do pozostania na obiedzie, by dopiero potem wyruszyli w drogę, ale Asartan, który lękał się powrotu do zaśmierdłej izby, odmówił stanowczo i kazał juczyc ? konie. O tym, by jechać wierzchem, nie było co marzyć; przez trzy dni nawaliło śniegu koniom po pierś i resztę drogi mieli pokonać przebijając się przez bezkresne zasy.

Kołpin, nie czekając polecenia, pierwszy wbił się w śnieżną pustynię. W dolince przy osadzie śnieg sięgał mu niemal do ramion, ale kiedy wyszli na trakt, gdzie wczorajszy wicher hulał szczególnie mocno, nie pozwalając uleżeć się puszystemu śniegowi, iść było nieco łatwiej. Asartan, prowadząc dwa wierzchowce szedł za nim, myśląc o tym, że na ośnieżonej pustyni widoczni są jak na dłoni dla każdego, kto wcześniej ukrył się na jednym z okolicznych wzgórz, by pełną przez zasy powitać nieoczekiwanym atakiem. Cóż, czas uderzyć się w piersi! To była jego najbardziej nieudolnie zorganizowana wyprawa.

Do Twierdzy dotarli po czterech godzinach rozpaczliwej walki. Osady, o której wspomnieli gospodarz gościnnej izby, Asartan w ogóle nie zauważył, być może zasy ją po dachy, natomiast wieżycy, przyklejone do górskiego zbocza, widoczne były z daleka. Oczywiście też było, że z wież rozciągała się wspaniała panorama okolicy. Skryba pewnikiem od dwu godzin napawał się widokiem wolno nadchodzących gości. Nie było co marzyć o zaskoczeniu.

Asartan uważnie przyjrzał się wieżom. To też zagadka, w której zasiadł przeciwnik? Śladów żadnych nie ma, jednakowe wejścia, drzwi tak samo zasypane śniegiem. Odrzucił zastosowanie magii od razu i zdecydowawszy, że przypadek nie lubi długich wahań, skierował się do bliższej z wież.

Trzeba było łopatę z Bierłożek zabrać!, pomyślał wesoło, odgarniając śnieg butem. Potem kilka razy stuknął w drzwi ręką sztyletu. Odpowiedziało mu echo we wnętrzu budowli. Potem zapadła cisza.

Asartan wzruszył ramionami i ruszył do drugiej wieży. Tu historia się powtórzyła. Żadnych śladów, zamknięte drzwi i na stukanie nikt nie odpowiedział. Asartan sprężył się, usiłując przez drzwi dojrzeć przyczajonego Skrybę. Wrota jednak oparły się, głuche i nieprzeniknione, najwidoczniej zaklęte. Ach, jakie to nieostrożne! Jeśli zaklina się drzwi, nie wolno zamykać ich na zwyczajną zasuwę... Asartan przygotował się do zaklęcia. Niczego podobnego nie było w naiwnej Księdze, pokazanej mu w Bierłożkach. On używał magii wyrafinowanej, paradoksalnej, choć nie wymagającej szczególnej mocy. Moc już włożył nieostrożny Skryba, tak więc włamywaczowi zostało tylko przeciwstawić zamykające zaklęcia stalowym zamkiem.

W odpowiedniej chwili Asartan odskoczył w bok i przyłgnął do ściany. Z głośnym hukiem dębowe skrzydła wyleciały w powietrze. Kołpin, nie uprzedzony przez swego pana, nie zdążył odskoczyć, ostra drzazga skaleczyła go w policzek. Zresztą, były bandyta nie przywykł zwracać uwagi na takie drobiazgi. Zaraz za Asartanem skoczył do powstałego przejścia.

Wieża była pusta. W dolnych, zachowanych w całości pomieszczeniach, najwidoczniej mieszkał Skryba. Cztery izby były urządzone z wiejską prostotą i nic nie wskazywało na zawód mieszkańca. Szerokie ławy, na jakich we wsiach przyjęto nie tylko siedzieć, ale i spać. Piec, wyraźnie postawiony w późniejszym czasie, kiedy nie było tu już żołnierzy, dwa kufry, całkowicie puste, ulatywał z nich aromat perskiego rumianku. Piec był wciąż ciepły, zapewne palono w nim jeszcze dzisiejszego ranka, tuż przed

zakończeniem zamieci. Schody do piwnicy zostały zamurwane, a może nawet całe podziemia zasypano głazami, by wzmocnić fundamenty.

Pomieszczenia piętra były puste i odstraszały plamami szronu na gołych kamieniach. Nie było tu nic ciekawego, tylko przy jednym z okien, przesłoniętym zbitą z desek płytą, stał na trójnogu teleskop i miedziany sekstans.

Jakim cudem Skryba opuścił dom, zamykając go od środka i nie naruszając śnieżnego całunu, Asartana nie interesowało. Może między wieżami jest sekretne podziemne przejście, a może gospodarza po prostu nie było w domu, a ogień w piecu palił się sam. W sumie, nic trudnego.

Asartan pośpiesznie wrócił do pierwszej wieży.

Tym razem Kołpin usunął się na bok, i drzwi rozpadły się nie czyniąc, nikomu krzywdy. Tu też znaleźli tylko cztery mieszkalne izby i puste pomieszczenia na górze. Piwnica jednak ocalała i była zavalona dziwnym instrumentarium alchemika. Niczego ciekawego dla siebie Asartan tam nie znalazł.

Gospodarza nigdzie nie było widać, stał tylko ciepły piec, w którym niedawno jeszcze palono.

- Co powiesz? - zapytał Asartan pomocnika.

- Uciekł - krótko odparł Kołpin.

- Nie miał dokąd uciec - wyraził wątpliwość czarodziej. - Czuję, że ukrywa się gdzieś w pobliżu...

Kołpin wzruszył ramionami i nie odezwał się.

- Gdybyś ty szykował tu jakieś sekretne schronienie - nie ustawał w pytaniach Asartan - to gdzie byś je urządził?

- W piwnicy. Na pewno jest zamurwana tylko dla oka.

- Dobrze myślisz. Sądzę, iż Skryba z góry wiedział, że tak będziesz rozumował. Zamurował więc piwnicę na głucho. Niemal na głucho. Mała komóreczka została, na wypadek, gdyby przeciwnik zdołał patrzeć przez kamienną ścianę. A gdy będziesz się przebijał przez głazy do tej komory, Skryba uderzy od pleców... Dlatego, że to chytry jegomość i w piwnicy go nie ma.

Kołpin milczał.

- Dlaczego nie pytasz, gdzie jest?

- Gdzie jest? - niczym echo odpowiedział sługa.

- Na piętrze siedzi.

- Obejrzałem tam wszystko. I wy też.

- Patrząc patrzyłeś, ale nie widziałeś. Bo powiedz mi, ile strzelnic ma ta wieża na drugim piętrze?

- Cztery - bezzwłocznie odpowiedział eks-bandyta - Takie wieże zawsze mają po cztery strzelnice.

- A od środka liczyłeś okna? Ile jest?

Kołpin zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć.

- Tam są rozwalone ściany, więc te same ambrazury widać z różnych izb. Tak od razu trudno policzyć...

- Nie męcz się. Pięć okien, pięć. Liczyłem. I komina ciepłego nie ma na piętrze, bo przechodzi on przez sekretną izbę, żeby siedzący tam nie zmarł. Tak to. Co stoisz? Idziemy, odwiedzimy Skrybę, popytamy co nieco. Skoro się przed nami ukrywa, to znaczy, że ma nieczyste sumienie.

Pan i sługa znowu weszli na piętro na poły rozwalonej wieży. Wydawało się, że od czasów dawnych wojen z Porzeczem niczego tu nie zmieniono. Nagie kamienne ściany, podłoga posypana struchłąłą słomą. Ścianki działowe między czterema izbami częściowo się zapadły w czasie niegdysiejszego trzęsienia ziemi i od tego czasu nikt nie kwapił się do ich odbudowy.

Tym razem Kołpin umyślnie obszedł wszystkie okna, niegdyś służące za strzelnice, przeliczył je i przez każde wyjrzał, na ile tylko pozwalał wąski otwór. Widoczność była kiepska, gęste krzyżownice z płytkami pociemniałej ze starości miki źle przepuszczały światło. Tylko te ramy świadczyły o tym, że Skryba, urządzając tu sobie mieszkanie, coś planował i w tym miejscu.

Strzelnic było pięć, wszystkie wyglądały na prawdziwe. Z każdej otwierał się widok na okolicę i nie można było stwierdzić, które z okien jest fałszywe.

Póki Kołpin miotał się od jednej strzelnicy do drugiej, Asartan stał, kpiąc z niego i żartując. Trzeba było bardzo dobrze znać Wędrownego maga, by za tymi złośliwymi komentarzami towarzyszącymi wysiłkom sługi, zobaczyć gorączkowe przygotowania do magicznego pojedynku. Ale oto Asartan uniosł rękę i głośno, wyraźnie wygłosił zaklęcie, jedno z tych, które czarodzieje tworzą sami i trzymają w sekrecie przed wszystkimi. Bo jeśli taki czar dokonywany jest w obecności rywala, to śmiało można uznać, że pojedynek będzie toczył się na śmierć i życie, by sekretna wiedza nie rozpełzła się po świecie, stając się osiągalną dla wszystkich.

Zrujnowane ściany, pamiętające jeszcze najazdy porzeczkańskich watah, posłusznie się przesunęły i okazało się, że nie tną one piętra na cztery komory, w których pod oknami zachowały się jeszcze resztki

nasypów dla strzelców, ale wydzielają niewielką izdebkę dokładnie na środku pomieszczenia. Było tu ciepło, w żeliwnym piecyku dogasały węgle. Za oświetlenie służył dziwaczny oliwny kaganek. Gdy ściany rozsunęły się, ujawniając ukrytą komorę, powiało chłodem. Kaganek zapłonął jaśniej, oświetlając izdebkę jak scenę. Tylko w teatrze można zobaczyć pokoje wywrócone wnętrzem do widza, z otwartymi na oścież ścianami.

Na środku izdebki przy stole siedział mężczyzna. Nie podniósł się na spotkanie Asartana i w ogóle nie ruszył się z miejsca, ale każdy, kto choć raz widział maga, mógł przysiąc, że pojedynek już się rozpoczął, chociaż żaden z nich nie skierował jeszcze swej mocy na drugiego.

- Witaj, Skrybo - niemal czule powiedział Asartan. - Niezbyt serdecznie witasz gości.

- Jeśli gość wylamuje mi drzwi wejściowe, to nazywam go inaczej.

- Stukałem. Klnę się na wszechświat, stukałem bardzo głośno.

- Byłem zajęty. Musiałem zakończyć Księgę i zakończyłem ją, kiedyście włamywali się do drugiej wieży.

- To ci się chwali, Skrybo, chwali... Właśnie po tę Księgę przyszliśmy.

- Oto ona. - Siedzący wskazał brodą leżący na stole gruby wolumin.

Oślałeś, Skrybo. Zbyt pośpiesznie straciłeś tyle mocy na inicjację Księgi, widząc tak blisko przeciwnika. Rozumiem, miałeś nadzieję, że przesiedzisz całe to zamieszanie w sekretnej komorze. Nieźle jest zrobiona, nawet gdybyśmy podpálili wieżę, czułbyś się bezpiecznie. Ale, mimo wszystko, odnalazłem cię.

- Zaskoczyłeś mnie - zgodził się siedzący.

- Oddaj mi Księgę.

- Bierz.

- Myślisz, że dam się złapać na taki prosty haczyk? Otwórz Księgę i przesun ją do rogu stołu. I nie próbuj przeczytać z niej choćby jednego słowa. Zabiję cię, nawet jeśli to będzie tylko zaklęcie przeciwko pluskwom i karaluchom.

- Oto Księga. Bierz.

Asartan ostrożnie zbliżył się do otwartego woluminu, zerknął na stronicę: „Pluskwy i karaluchy wytępić tak, by i w przyszłości ich nie było”.

Mag gwałtownie podniósł Księgę, pośpiesznie ją przewertował. Taki sam tom widział dwa dni temu w zasypanych śniegiem Bierłożkach.

- Co ty, kpisz sobie ze mnie? Potrzebuję prawdziwej Księgi. Zrozum, jesteś już martwy, niech przynajmniej pamięć o tobie zostanie. Dla mnie nie jest ważne, kto napisał tę Księgę, ale jeśli oddasz mi ją dobrowolnie, to będzie nosiła twoje imię. Nie chcesz?.. Myślisz, że nie poradzę sobie z tobą? Widzę wszystkie twoje pułapki i wiem, jak je ominąć. - Asartan uniósł rękę groźnym gestem. - Nie zmuszaj mnie do działania! Wyprzedzę cię zawsze, jestem już gotów do bitwy, a ty dopiero musisz zebrać siły. No?...

Potem Asartan nie mógł pozbyć się wrażenia, że przeciwnik zamierzał coś powiedzieć czy zrobić, chyba nawet zaczął jakiś ruch, ale właśnie w tym momencie za jego plecami pojawił się Kołpin. Zwyczajny, zgoła nie zaczarowany bandycki nóż uderzył siedzącego pod łopatkę.

Buchnął płomień, obaj - i zabójca, i ofiara, wyprężyli się w spazmie, skręceni niewyobrażalnym skurczem, a potem zwalili na ziemię obok siebie.

- No i koniec... - podsumował Asartan. - Przegrałeś, Skrybo. Myślałeś, że magiczne odbicie cię uratuje? Myślałeś, że nie odważę się tknąć tego, kto jest tak straszliwie strzeżony? Zapomniałeś, że istnieje żywa broń, którą można poświęcić. Wymienić twoje życie na życie sługi. Ja jestem zadowolony z wymiany. Szkoda, że nie usiłowałeś zaatakować. Magiczne odbicie nie pozwala na zastosowanie bojowej magii, ale przecież i ty miałeś coś w odwodzie... Tylko że wolałeś się ukryć i osłonić na podobieństwo żółwia. A z żółwi, mój drogi przyjacielu, robi się smaczną zupę. No, gdzie jest ta prawdziwa Księga?

Asartan odsunął na bok zwłoki i rozpoczął poszukiwania. Otworzył metalowy kuferek, w którym znalazł czyste arkusze pergaminu, atrament z żółdzi i pęk zaostzonych piór. Przewrócił stół, sprawdził wszystkie ściany, stosując najprzemysłniejsze zaklęcia, przejrzał magicznym spojrzeniem obie wieże i ziemię dokoła nich. Pod koniec szukał już nie tyle magicznej Księgi, co czegokolwiek, noszącego ślady obcej magii, śladu zamawiania. Rzeczy, od której można by zacząć poszukiwania. Ileż razy już tak było: maluteńki odcisk zaklęcia na przydrożnym kamieniu, żeby wygodniej się siedziało, doprowadzał go do sprytniej kryjówki, w której ukryte były skarby zaginionego maga. Bywało i tak, że pojawiał się na miejscu stoczonego dawno temu magicznego pojedynku i znajdował tam coś, o czym nawet się nie śniło gamoniowi - zwycięzcy. Ale tu nie było nic. Własnoręcznie zdjął z drzwi zamykające zaklęcia, sekretną izbę odnalazł i otworzył, stygnące zwłoki Skryby, jak zawsze po zrzućeniu odbicia, nie zawierały w sobie żadnej mocy. Trzydniowa zamieć wyszumiała się i skończyła. Mistrz, słynący w okolicy z dobrej magii, nie pozostawił po sobie najmniejszego czaru. I tylko książka, leżąca na stole, potwierdzała jego umiejętności.

Nie każdemu jest dane napisać magiczną Księgę. Każdy, kto potrafi ją otworzyć, może też skopiować, ale nie będzie to już Księga Magiczna, a jedynie zbiór zaszeptów i wykrzyków. Żeby Księga ożyła, trzeba w nią włożyć część własnej, żywej mocy. A potem przez długie tygodnie odzyskiwać siły, w bezradności i słabowaniu niczym nie-opierzony perkoz. Dlatego nie ma nigdzie magicznych Ksiąg, tylko legendy krążą o nich wśród czarodziejów.

Na dodatek nieboszczyk Skryba postanowił być dobroczyńcą wiejskich znachorów, za co też zapłacił wysoką cenę. Nie pomogła ani sprytna kryjówka, ani z wyprzedzeniem położone zaklęcie obronne. Tyle tylko, że Skryba był zbyt mądry, by zapisywać swoje prawdziwe sekrety. Plotka okazała się fałszywa...

Asartan wyskoczył z wieży prosto w siodło. Wkrótce zacznie zapadać zmierzch, a on chciałby zatrzymać się na nocleg dopiero w Sieliszczach. Śmierdzącej gościnności Bierłówek miał powyżej dziurek w nosie. A poza tym nie będzie tam miłym gościem, słabowity staruch na pewno wie już o śmierci swego dobroczyńcy, i z góry trzęsie się o swoje życie.

Przetartym szlakiem Asartan bez trudu dotarł do chutoru. Dalej śnieg leżał niczym nietknięty puszysty dywan. Jazda saniami stanie się możliwa nie wiadomo kiedy, a na razie drogi nie widać. Jak gadali miejscowi dowcipnisie: czterykroć cię trafi szlag, zanim przetrzesz w śniegu szlak.

Asartan władczo uniósł rękę. Strumień oślepiającego smoczego płomienia trysnął z dłoni, błyskawicznie zmiótł i stopił śnieg, otwierając aż do zakrętu wypaloną do czysta drogę. Czarodziej odwrócił się do zasypanych śniegiem Bierłówek, chcąc się przekonać, czy mieszkańcy zaczadzonej chaty widzą straszliwą siłę fnaga. Odczyszczane mikowe szybki pozostawały ciemne, ale Asartan poczuł wyraźnie: gapią się, przyłgnąwszy do okien, i milczą.

Przez chwilę walczył z chęcią powrotu do zabudowań i odebrania Księgi dziecinnialemu znachorowi. Cokolwiek by mówić - rzecz rzadka. Co prawda, jedna taka Księga już tkwiła w torbie przy siodle, ale i dla drugiej znajdzie się zastosowanie. Można ją wymienić u kolegów po fachu na coś naprawdę pożytecznego... A zresztą, niech ją... Odbierając Księgę trzeba by zabić staruszka, a to by było niezbyt godnym zakończeniem bitwy ze Skrybą. Niech siedzi sobie przy oknie, patrzy z lękiem na triumfującego wroga i nawet nie będzie mógł wysłać słabego starczego przekleństwa na pożeganie.

* * *

Rzeczywiście, plecom oddalającego się jeźdźca przypatrywało się z domu kilka par oczu. Starzec-wróż przeniósł spojrzenie na gości:

- Dlaczego go puszczasz?

- Rzeczywiście - dlaczego? - podchwycił przysadzisty, podobny do krasnoluda Maruch. - Ten nędznik narozrabiał w wieżach, zabił kopistę...

- Zostawił nowego kopistę - odpowiedział ten, do którego zwracali się starcy. - Co prawda ten zbój, Kołpin, jest niepiśmienny, ale można go przyuczyć. A na razie, niech dochodzi do siebie i naprawia to, co zepsuł jego patron.

- Ale i tak sądzę, że nie należało puszczать go żywego.

- Dlaczego? Przecież jest jednym z najlepszych. Nie wrócił, żeby odebrać ci Księgę, nie lubi niepotrzebnego zabijania i dlatego dziś darowano mu życie.

- Wyłamał drzwi - ze złością zauważył Maruch. - Zupełnie nowe, jeszcze by długo posłużyły!

- Prawda. Ale życie gościa warte jest więcej niż para wyłamanych drzwi. Na dodatek, w zamian za Księgę zdradził swoje sekrety. Ta sztuczka z ogniem - kompletna bzdura, ale zaklęcie wyszukiwania, które stosował, kiedy szukał sekretnej izby i nieistniejącego skarbu, jest bardzo interesujące. Nie słyszałem wcześniej takowego.

- Zapiszesz je w swojej głównej Księdze?

Skryba pokręcił głową. - Nie mam Księgi. Mógłbym ją napisać, ale boję się, że po mojej śmierci może trafić w nieodpowiednie ręce.

- Ale jeśli jej nie napiszesz, wszystkie tajemnice umrą wraz z tobą.

- Obawiam się, że tak właśnie będzie. - Skryba uważnie przyjrzał się starcom. - Szkoda, oczywiście, ale sami widzieliście, co się dzieje, kiedy potężne moce trafiają do słabych rąk. Ja nie napiszę Księgi z obawy, inni ze skąpstwa, jeszcze inni z odmiennych powodów. Trzeba być bardzo próżnym i nieodpowiedzialnym człowiekiem, by zabrać się do tworzenia magicznej Księgi. A jak myślicie, dlaczego z każdym pokoleniem magia jest coraz słabsza?

Bo nikt już nie pisze Ksiąg.

Przełożył: EuGeniusz Dębski